

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

DJABEŁ, TOM PIERWSZY

Józef Kraszewski

Djabeł, tom pierwszy

«Public Domain»

Kraszewski J.

Djabeł, tom pierwszy / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom I	5
I	6
II	12
III	15
Конец ознакомительного фрагмента.	18

Józef Ignacy Kraszewski

Djabeł, tom pierwszy

Tom I

Józefowi Kremerowi

AUTOROWI LISTÓW Z KRAKOWA,

w dowód głębokiego szacunku

PRZESYŁA

AUTOR

Powieść ta napisana była w roku 1853, zatem lat dwadzieścia temu; drukowała ją Gazeta Warszawska Antoniego Leśniowskiego, a później nieco poprawną wydał w Wilnie Zawadzki. W kilka lat potem przełożona na język Czeski, doczekała się w nim dwóch wydań.

Za podstawę do niej służyły żywe podania, rękopisma i mnogi materiał pamiętnikowy, który by dziś znacznie mógł być obfitszym i dozwolił może z większym bogactwem szczegółów, epokę tę odmalować. – Nie chcieliśmy wszakże przerabiać *Djabła*, aby mu pierwotnego jego charakteru nie odebrać i nie tknęliśmy go wcale. Warunki w jakich pisany być musiał naówczas, jak łatwo się domyśleć, wpłynęły znacznie na rozwinięcie obrazu, którego część po za ramy się usunęła. – Ogólny pomysł powieści musiał być do wymagań artystycznych zastosowany, treść jednak – zapewnić możemy, jest ściślej historyczną, niżeli by się zdawać mogło. – Opowiadania współczesnych tej epoki, którzy w jej życiu gorący udział brali, najwięcej nam posłużyły do nacechowania epoki, i niema – możemy śmiało powiedzieć, jednego rysu w *Djablu*, który by: *mutatis mutandis*, z nich zaczerpnięty nie był. Naówczas jeszcze spotykało się na prowincji starych szambelanów Stanisławowskiego dworu, siwych już paziów J. K. Mości, oficerów Kościuszkowskich, posłów czteroletniego Sejmu, dawnych urzędników i złotą młodzież z czasów **teżyzny**, która to gadatliwością starym właściwą, opowiadała swe wspomnienia. Autor miał tę słabość i nawyknięcie, że słyszane powieści co dzień sobie spisywał, ratując je od zaguby. Służyły mu one później nie tylko do tego opowiadania, ale do bardzo wielu innych, z tegoż źródła dobytých. – Radziłyśmy aby za przykładem naszym i młodsze pokolenie zbierało podania żywe, których drogocennej treści, najżywszą wyobraźnią zastąpić niepodobna. Rola jej ograniczać się musi w wykonaniu szczegółów i odżywieniu suchych tych danych, które w pierś żywą włożone, jak róże Jerychońskie odzielenione, wskrzeszone wykwitają.

D. 18. Listop. 1872

Drezno

J. I. K.

I

Było to jakoś w marcu 1787 roku, w porze ze wszystkich u nas najmniej stałej, o czym z dawna świadczy przysłowie, (widać klimat się nie zmienił). Wyrywały się czasem dzionki z jasnym słońcem i cieplejszym powietrzem, to znowu jak zadał wiatr z północy lub wschodu, napędzał śnieżnicy ogromnej, mrozu i pluty na przemiany, tak, że pies na dwór nosa by nie wytknął.

Wszyscy panowie szlachta gospodarze, siedzący po otkanych dobrze i zamczystych dworach swoich, z kalendarzami na stołach a okularami na nosie, unosili się nad szczególniejszą trafnością, z jaką prognostyki na ten raz zmiany aury przepowiadały. Duńczewski tryumfował, nie trudno bowiem było zgadnąć w stylu kalendarzowym, pisząc o marcowej pogodzie – jasne i chmurne dni chodzące jak zwykle stronami; znalazła się zawsze jakaś strona, w której przepowiednia trafiła. Wyglądano wiosny jak to się jej co roku wygląda, choćby kto był najstarszy, i sześćdziesiąt ich widział, z niecierpliwością, z upragnieniem, czasem aż do rozpaczyny dochodząc, gdy po dniu jasnym i zwiastującym trawkę zieloną, chwycił znowu przymrozek i sypnął śnieg na przekor.

Czuje bo człowiek że policzone dni jego, że tych wiosennych cudów nie wiele mu oglądać: w dzieciństwie nie dozwala niemi się nacieszyć szal lateg nieopatrznych, w młodości zasłania oczy krew gorąca, a na starość nic już nie bawi, dla niej zima rok cały. Tylko w pośrodku życia jest jedna chwila tęsknoty, chwilka niedługa, w której się człowiek czepia do ziemi; ukocha ją i uczuje goręcej, jakby przed rozstaniem.

W tym roku, jakoś im gorętsze były życzenia wiosny, tem leniwiej dla nich zdawała się przychodzić; zanosilo się było zawczasu na ciepło, stopniały grudniowe śniegi, myślano już z pługami i radłami wychodzić w pole, aż znowu uderzyły mrozy, zaszumiały zawieje, i zima jak w grudniu.

Tymczasem, pomimo nieprzyjaznej aury i grozących roztopów wiosennych, król Jegomość Stanisław August, na nic niezważając, posuwał się ku Kaniowu; a na całej drodze, którą miał przebywać, czyniono wielkie na przyjęcie jego przygotowania. Nie tylko miasta, miasteczka, gródki, ale wioski i dworki, ba, austerje po gościńcach oczyszczwały się, stroiły i gotowały solennie witać monarchę.

Kraj przez który miał przejeżdżać, cały był w wielkim ruchu, niepokoju, zamieszaniu; do zakątków nawet odleglejszych docierały wieści i zwykły tryb życia zmaciły. Grody budowały łuki tryumfalne, złociły klucze, a co było uczonych lub uchodzących w swej profesji za literatów, kuło wiersze łacińskie lub polskie, kleciło mowy, piłowało dystychy, rysowało cyfry, wieńce, palmy i emblematy. Ciołka Poniatowskich obracano na wszystkie strony, czyniąc go to wołem ofiarnym starożytnych, to symbolicznym siły wyrazem. A że król Jegomość sam, nie bez pewnego prawa za uczonego uchodził, i znał się na tych rzeczach niepospolicie, wiersze i oracje niemało kosztowały potu i mokołu – a co w nich zasiano nadziei!! Piękne panie poczawszy od wojewodzin do prostych ale ładnych szlachcianek, sposobiły się też, zbrojne we wszystkie swe wdzięki, wystąpić na przyjęcie koronowanego, który, że na piękności znał się także, i umiał ją cenić, powszechna chodziła fama.

Sprowadzano stroje z Warszawy i Paryża, dobywano kosztowności pradziadowskie, mężom bolały głowy do wydawania i wysłuchiwanie rozkazów, a co i tu nasnuło się pajęczych nitek nadziei!!

Panowie szlachta moderowali stare swe rzędy i wysadzane kulbaki, których Karol Gustaw nie pozabierał na pamiątkę do Szwecji, i co od Wiedeńskiej świata nie widziały wyprawy, tylko przez okna lamusu, lub masztarni; ujeżdżali koniki, kręcili wasy i zmaiwali się gdzie króla Jegomości spotykać wypadało. Nie było pokoju nikomu, nawet kahałom żydowskim, niedozwalającym się ubiedzić; bo rabini także smażyli głowy nad mowami szpikowanymi starym testamentem, a jeden z nich nawet wypalił rezolutnie oracją po łacinie, co ksiądz Naruszewicz nie mało podziwiał.

Jednych ciekawość, drugich próżność, innych nadzieja tajemna, wiodła naprzeciw pańskiej kolasy; wywiadywano się pilnie o kierunek drogi, o stanowiska, noclegi, odpoczynki, przepręgi, na

wścigi dobijając o cześć przyjmowania króla, choćby tylko przez ćwierć godziny, bodaj w karczmie traktowej.

Była to chwila szafu nie do opisanie, a tysiące scen drobnych czyniły ją naprzemian śmieszną, rozrzewniającą, poważną. Jedni wynosili naprzeciw monarchy dzieci przebierane wytwornie, wyprowadzali chóry dziewic strojnych, stawiano ołtarze, wznoszono piramidy i świątynie, palono ognie ofiarne, odegrywano dramata, deklamowano panegiryki, a co było nieraz lataniny, krzątania i kłopotu nim się udało na swoim postawić – na wołowej by skórze tego nie spisał.

A wieleż to śniadań gorących w oczekiwaniu próżnem zamarzło, wiele to wykwinnych wieczerz zjedli słudzy – zawodów tu, jak wszędzie nie brakło. Pora była marcowa, drogi niepewne, błota i grudy naprzemiany, król często chybiał przyrzekłszy, i do rozpacz doprowadzał gorejące serca poddanych.

Biada temu, kogo losy niosły w drogę królewskim gościńcem – nie znalazł nigdzie austerji wolnej na trakcie, nie mógł się rozminąć ze szlachtą licznymi krążącą pocztami, z pułkami magnatów butnemi jak Tatarzy, z ciurami, wozami i landarami zalegającymi drogę całą.

W Głuszy, wiosce wołyńskiej, należącej podówczas do podczaszynej Ordyńskiej z domu księżniczki W... która znajdowała się właśnie na drodze Jego Królewskiej Mości, czyniono już przygotowania od miesiąca na odwiedziny królewskie: miała bowiem podcieszyna pewną obietnicę i słuszne powody spodziewania się, że król jej dotrzyma.

Głusza, ogromna osada o której geograficznem położeniu zamilczeć nam wypadnie, była jedną z przepysznych włości bogatego kraju naszego, co to im nie brak nic od Boga; ludzie sobie winni sami, jeśli im tam niedobrze. Klucz, którego stanowiła główne fundum, składał się z kilku wielkich wsi i przysiółków, liczących do tysiąca domów; jedną stroną przypierał do odwiecznych puszczy i lasów, drugą do najżyźniejszych pól w świecie. Środkiem płynęła rzeka spławna, użyźniająca nieprzekoszone łąki, obracająca niezliczone młyny, i jakby umyślnie podsuwająca się pod sam ogród pałacowy dla dodania mu rozmaitości, świeżości i wdzięku. Samo fundum, stara niegdyś siedziba książąt W... których ostatnią dziedziczką była podcieszyna, odznaczało się położeniem, jak wszystkie odwieczne grodziska na tej ziemi.

W wiekach kiedy więcej było pustych obszarów niż ludzi, umiano dobrze wybierać posady zamczysk i dworców, stawiano je zawsze u szumiącej wody, na wesołych wzgórzach, w pośród cienistych drzew, pilnując, żeby i oko z wałów miało się sobie gdzie porozkoszować, pobujać, a nieprzyjaciela z daleka dopatrzyć. Ale teraz ani śladu już nie pozostało starego gródka w Głuszy, który się niegdyś bronił Tatarom, a w ostatnich wojnach kozackich został zburzony; na jego miejscu zbudowano pałacyk w początku drewniany, później murowany gmach, który się otoczył za Augusta II. ogrodem we włoskim smaku, a dziś przerabiał na dzikie promenady. Jedynym śladem starożytnego grodziska, były zielone wały, poprzerabiane na tarasy ogrodowe i fosy, na których stawiano zgrabne mostki w stylu **rustyk** zwanym. Obok starych lipowych szpalerów, altan i strzyżonych w kształcie piramid, wazonów i kolumn, świerków i grabów, puszczały się swobodniej pozasadzone drzewa, białe altany w sposobie świątyń i chińskich domków, grotty muszlami i kamykami misternie sadzone, pustelnicze chatki i niby wiejskie chałupki. Sam pałac ze wspaniałym frontem, świeżo przerobionym wedle planu budowniczych królewskiego Merliniego i Fontany, wspaniale zdobiły dwa rzędy kolumn od dziedzińca i ogrodu; od wjazdu przedłużały go dwie oficyny o piętrach, a podwórzec kwadratowy z fontanną, która nie zawsze biła, zamykały żelazne sztachety i brama ustrojona w trofea militarne. Słowem, była to wcale pańska rezydencja, której by się najwykwintniejszy z magnatów nie powstydział, a w urzędzeniu jej znać było smak wielki i najczulszą staranność. W tej chwili wyglądało to wszystko, dzięki spodziewanym odwiedzinom królewskim jeszcze świetniej, piękniej i ozdobniej. Pałac był na nowo pomalowany, dziedziniec brukowany i wyżyrowany, a gdyby nie śnieżek co gdzieś tam plamił ziemię, nie dojrzałbyś na niej żadnej zimowej pstroczyny, tak pilnie ją uczyszczono i ubito. W pałacu, oficynach, na przyległym folwarku, w stajniach, wszędzie zakręt i ruch był ogromny; ludzie latali jak oparzeni, rżały poubierane w aksamitne chomąta i farbowane

pióra konie, otrzepywano powozy, nakładano kulbaki, zwoływano się z daleka, kłął nie jeden, bili nawet niecierpliwi, i w powszechnym zamęcie widać tylko było, że się wszyscy ogromnie spieszyli.

Na progu pałacowym stali kupkami pacholki, liberja, dworzanie, pokojowcy, popychając się, spędzając, wbiegając i wybiegając z pokoi; groźny głos marszałka wąsatego dawał się słyszeć czasami, to znów ginął w głębinach antykamery. Wewnątrz nie więcej było ładu i nie mniej niecierpliwości. W wielkiej sali niebiesko marmoryzowanej, zaokrąglonej od ganku ogrodowego, między której kolumnami ukazywały się malowane zręcznie w niszach boginie, bogowie greccy i tancerki herkulańskie, szum dawał się słyszeć pomieszanych głosów niewieścich i męzkich. Sala ta najwspanialsza w pałacu, ubrana była z wcale nie wiejską wykwinnością; rzekłbyś, że ją całą w pace z Paryża sprowadzono, tak od stropu do posadzki, lśniła się najmodniejszym przepychem.

Niemal wszystko tu było nowiuteńkie i tak doskonale dobrane, jakby z pod jednego sztukmistrza i rzemieślnika wyszło dłoni. Kształt sprzętów, ozdób, draperyj, fraszek co ją zdobiły, dziwnie się pięknie godził z formami budowy, z jej stylem i architektonicznymi ornamentacjami. Postacie bóstw, wśród tego, jak świątynia starożytna, przybranego salonu, unosiły się wdzięczne, rozkoszne, a tak wybornie umieszczone, że bez nich byłoby mu czegoś niedostawało. Wprawdzie, te figury trochę były za nagie, trochę na starą Polskę za śmiało rysowane, wielce pogańskim trąciły światem; ale też i salon którego stroju dopełniały, nie miał w sobie nic polskiego, nic co by przypomnieć mogło kraj, na którego stał ziemi. Z końca w koniec zaludniała go myśl pod obcą urodzoną strefą, sprzęty zagraniczną wyrobione modą i ręką, tkaniny nie naszych warsztatów, obrazy nie naszego życia. Było to w swoim rodzaju doskonale piękne, ale całkowicie zimne, jak wszystko co modne tylko i nowe, z czym się człowiek nie poślubił godzinami wspomnień i cierpienia. Wielka ta sala, która środek pałacu zajmowała cały, ze ścianami w niebieski marmur z żyłkami złotymi, z kolumnami białymi z wytwornymi gipsaturami, z bóstwy pogańskimi, w tej chwili poczyniała połyskiwać od zawczasu zapalonych świateł w żyrandolach ze szkła i brązu, w kandelabrach i alabastrowych urnach, których cztery stały po rogach na marmurowych półkolumnach. Bogate draperje z białego i niebieskiego atlasu, ze złotą i białą fręzlą, zwieszały się we wdzięcznych fałdach po nad okna; i w około trojga drzwi wiodących do przedsienia i bocznych pokoi. Z dwóch stron, dwie kanapy także ozdobione brązami, stały w stylu greckim oparte na chimerach i podobne fotele obite niebieskimi gobelinami, czekały tylko gości, mających zasiąść do koła. Przed trojgiem drzwi szklanych wychodzących na ogród, stały na półkolumnach białych, podobnych do tych na jakich w rogach ustawiono urny alabastrowe, sześć pięknych posągów marmurowych, wybornie naśladowujących starożytne. Były one dłuta Le Brun'a i wystawiały Apollina Belwederskiego, Antinousa, Herkulesa, Venus Medycejską, Florę i Bachantkę. Na konsolach między oknami, widać było prócz tego, przepyszny zbiór was etruskich. Kilka żółtych popiersi wybornego starożytnego dłuta, parę drobnych brązów z wykopalisk Pompei, i nowsze statuetki w smaku wieku. Wyjawszy alfresca w niszach, nie było w sali malowań innych, ale dwanaście tych postaci dosyć ją ożywiały. Posadzka była z kunsztownie wysadzanego drzewa, na sposób dawnych mozaik, z niepospolitym wykonana smakiem; w pośrodku jej kwadratową wielką taflę zajmowała kopja obrazu starożytnego, zwanego *weselem Aldobrandyńskim*.

Spojrzenie na tę jedną salę, dawało się już domyślać mieszkańców tego domu, tęskniących pod chmurnem niebem północy, za cieplejszą ukochaną Italią, za gwarną Francją, za wszystkim co nie nasze.

Nim poznamy bliżej nieco i pałac i jego właścicieli, spojrzymy na grupę, która niespokojnie zwija się w pośrodku wielkiej niebieskiej sali. Główne w niej stanowisko, zajmuje kobieta lat średnich, nie bardzo już młoda, lecz jeszcze świeża i ładna, której widocznie chodzi o to by się jak najpiękniejszą, jak najmłodszą pokazać jeszcze. Strój jej wedle najświeższego kroju w Paryżu podobno kurjerem sprowadzony od sławnej Henryetty, wyfilozofowany był, ażeby odmłodzić, i po części celu swego dopinał. Cała prawie była w bieli, złoto tylko gdzie niegdzie połyskiwało na tem tle śnieżnem, i dodawało mu powagi. Była to wyniosłej postawy i poważnego oblicza

kobieta, z oczyma niebieskimi, z brwią i włosiem ciemnym, z koralowymi usty, których różowość z puszek wyczerpniętą być musiała, a tak biała, tak świeżuchna i rumiana, że nie jeden niedowiarek i te kolory uznałby za pożyczane. Na czole jej świecił djadem przepyszny, niby gałąź polnej konwalii, której kwiaty z pereł i djamencików, a liście były z smaragdów... gdzieś na listku czepiała się brylantowa rosy kropelka. Na szyję spływał sznur pereł, spięty ogromnymi brylantami, a drugi podobny spleciony tylko inaczej, utrzymywał suknię w stanie, opasywał piękne ręce. Cała suknia zaszyta w złote drobniuchne gwiazdeczki migotała, ale na nieszczęście, barwą swoją nazbyt widocznymi czyniła kształty, którym lata nadały nieco za wyraziste obrysy. Ował twarzy piękny jeszcze i regularny, mdławie spojrzenie pełne dotąd melancholicznego wdzięku, usta ślicznego rysunku, jeszczeby pociągnąć, jeszczeby podobać się mogły, gdyby może nazbyt nie ubiegały się o to. Z pod zasłony w pół przezroczystej, którą jak chmurką osłoniła szyję, nieco rąk i gorsu, przeglądały paluszki drobniuchne, różowe, prześliczne jeszcze, gdyby ich nadto pierścieni nie ukrywało. Łatwo w niej było poznać panią domu, po głosie, postawie i rozkazach które wydawała. – Obok niej stał młodziuchny mężczyzna, rzadkiej piękności i słodczy wyrazu w twarzy, którą jeszcze nawet puszek młodzieńczy nie okrył. Dość słusznego wzrostu, ale gibki i cieniuchny, rysy miał doskonałe, niemal niewieście-piękne, oczy czarne, ogniste, osobliwszą na wiek pałające energią, usta trochę ściśnione ale drobno wycięte, czoło wyniosłe i nos prosty z rozdętymi nozdrzami, arystokratycznego galbu. Była to wprawdzie piękność raczej kobieca niż męzka, ale i wiek tak młody, że zmężyć nie dał mu czasu. Ubranie wszakże młodzieńca starsze było od niego i niczem się nie różniło od wykwintnego stroju panów owej epoki. Miał na sobie frak z fioletowego weneckiego aksamitu haftowany perełkami, z guzami perłowej macicy i brylantów, podobną resztę ubrania, kamizelkę z białego atłasu ze srebrem, białe pończochy i z bogatymi sprzączkami trzewiki. Z rękawów fraka, z pod kamizelki płynęły prześlicznych koronek zwoje, wśród których wielka tylko na piersi ciemniała kamea. Puder okrywał mu włosy, i coś powietrznego, idealnego nadawał tej twarzy, którą jakby białym śnieżnym obłokiem, puklami otaczał. Kobieta niekiedy spoglądała na uśmiechnięte lica młodzieńca z dumą, z wewnętrzną jakąś radością, która zdradzała matkę – ale nie miała czasu pocieszyć się widokiem miłej twarzy, bo ją od niej tysiączne odrywały starania. Służąca jeszcze opinała na niej białą ową chmurę, a druga zamykała bransolety, trzecia ustawiała coś w misternej fryzurze głowy, inna ociągala suknię i dysponowała fałdom, by się jak najzręczniejsz układały, a dziesięciu przynajmniej z męskiej służby stało czekając rozkazów, które się krzyżowały, latały, odwoływały, powtarzały i gmatwały do niewyrozumienia.

Obok młodego człowieka stał drugi nie stary wcale mężczyzna, dziwna zaprawdę figurka, ale widać że ważna, bo na jednej stopie z panią domu dysponował i rozrządzał się absolutnie. Był to człowiek lat około czterdziestu mieć mogący, średniego wzrostu i uśmiechniętej twarzy, którego wszystkie ruchy dworactwem przesiąkły jak gąbka wody i uśmiechu pełne się być zdawały. Nadzwyczaj zgrabny, giętki, wyłamany, gdyby nauczyciel tańcu lub fechtunku, jegomość ten cały przecie w czerni był ubrany, a rabacik maleńki przekonywał, że do stanu duchownego liczyć się miał ochotę. Frak jego, kamizelka, pończochy, trzewiki, wszystko było czarne; maleńki płaszczyk zarzucony na ramię strój cały przykrywał. Kapelusik miał pod pachą, u boku cieniuchną szpadę, na trzewikach świecące klamerki stalowe, na piątym palcu prawej ręki sygnecik brylantowy, mankiety i żabocik suto przystrojone koronkami. Nie wiem jak wam dać wyobrażenie tej tłusciuchnej maskowatej twarzyczki, u której pod nastrzępioną fryzurą biega dwoje oczek piwnych, żywych, złych, dowcipnych i bystro chwytających najmniejszy ruch, najlżejsze skinienie; jak odmalować uniżoność tę i dumę, pochlebstwo pomieszaną z sarkazmem, które się doskonale zamalgamowały we wszystkich jego gestach i poruszeniach. Odmalujcie go sobie sami, domyślcie jeśli chcecie, choć nic dziś za wzór do tego obrazka służyć nie może. – Ja się wyrzekam.

Naprzeciw pani podczaszyniej, jej syna i labusia w paradnej herbowej liberji, na której łączyły się smoki książąt W... i bramy obozowe Ordyńskich, stało kilku służących, mocno wypudrowanych i strojnych, a na czele ich czarno ubrany, widocznie pierwszy kamerdyner, cudzoziemiec z miną

poważną i przejętą bardzo godnością swoją a ogromem włożonych na się obowiązków – z marszczką na czole, z zagryzionymi ustami – ostatnie odbierał rozporządzenia i rozkazy.

Trochę z boku, w polskim stroju, dworak jakiś posiadał, kiwając głową i ruszając ramionami, przypatrywał się wszystkiemu niespokojny.

Rozmowa piorunująca toczyła się po francuzku w kółku wybranych.

– Prawdziwie to trzeba oszaleć, cieniuchnym ale wyuczono-spieszczonym głosem wołała żywo podczaszyna – tysiące jeszcze rzeczy zostało się na sam ostatek! a godzina blisko. A! mój Labe, gdyby broń Boże chybić co miało, jabym umarła, jabym zemdląła ze wstydu! Wystawcie sobie że o nasz honor chodzi; przyjmujemy króla! potrzeba przekonać Najjaśniejszego Pana, że i w naszym kraju, może się znajdować dom na zagranicznej całkiem, na wykwińskiej stopie. Labe Poinot! kochany Labe! zlituj się nademną! uspokój mnie, drzę cała – dodała mdlejące coraz bardziej spojrzenie rzucając na fertycznego francuzika, który się wciąż uśmiechał dla uspokojenia podczaszyny.

– Niech wasza ekscelencja (tak zawsze tytułował Poinot panią podczaszynę) niech wasza ekscelencja, zupełnie być raczy spokojną – wszystko gotowe, lub gotowości blizkie i wszystko udać się musi!

– Kiedyż bo to z temi gburami, z temi ludźmi naszymi, z temi – niezgrabiaszami, mój Labe, niepodobna nic w porze i porządnie zrobić. To są męki Tantala! Już już, zdaje ci się że pojęli, aż oto najokropniejszą gotują ci pomyłkę! – Panie Sieninski, dodała głosem odmiennym po polsku do starego kontuszowego, idź mi waćpan zaraz z oczów i nie śmiej się pokazywać w tym barbarzyńskim, tatarskim jakimś stroju – pilnuj tylko zdaleka porządku i bezpieczeństwa.

– Tak, mruknął odchodząc stary z powolnym ukłonem – idź precz a pilnuj, bo co ci Francuzi, te pudle i szpice co tak zręcznie na dwóch łapkach służą, pewnie nic nie dopilnują, rychlej by zwędzili. Pójdę, pójdę, i po jakiego bym tu djabeła miał leżeć nieproszony.

– Monsieur Robert! zawołała podczaszyna – zmiłuj się, pilnuj żeby światła były wszędzie pozapalane, żeby służba wdziała rękawiczki w porę, pamiętaj też o pokojach królewskich... W gabinecie światła powinny być przyćmione – zawiesiliście mój portret tam gdzie kazałam?

– Alfierze, odezwała się do syna, posyłaj po karety, nie będę czekać na te panie, które się ubierają bez końca, niech mnie doganiają pod austerją – boję się, truchleję, ginę żebyśmy się nie opóźnili! Czy są ludzie z wachlami rozstawieni od gościńca w alei do dworu? niech zapalą ognie co prędzej! na Boga! gotowi mi iluminacją przez głupią oszczędność poplątać.

Pani podczaszyna wołała tak mieszając rozkazy najrozmaitsze blisko ćwierć godziny, a coraz to ktoś wyleciał, rozległ się czyjś głos w ganku, bieganie po wschodach, szmer w sieni. Sam nawet Labe i pan Alfier niejednokrotnie do różnych poselstw użyci byli. Tymczasem zmierzchało, zmierzchało powoli, pani podczaszyna coraz się bardziej niecierpliwiła, aż wreszcie zatoczyły się powozy, zajęchała służba konna, janczary, kozaki, pacholeta postrojone i podczaszyna zaklinając znów labusia by wszystkiego pilnował, by o wszystkim pamiętał, ruszyła ku pojazdowi, który na nią i na syna jej czekał; kobiety rzuciły na nią lekką jak piórko szubę, białą atłasową z łabędziego puchu, na Alfiera przepyszne futro sobolowe z pąsowym wierzchem, widocznie z pradziadowskiego przyakomodowane, i syn z matką wyszli na ganek.

Tu widok był prześliczny.

Długa aleja lipowa, ręką zimą jakby naumyślnie przystrojona w białe szrony, cała świeciła dwoma rzędami pochodni, przez spędzone umyślnie trzymany gromady; wśród tych migocących świateł, gdzie niegdzie na podwyższeniu, płonęły beczki smolne, całe okryte gałęzmi sośniny i jodeł w kształcie piramid pospłatanymi. Pałac i oficyny rzesisto gorzały lampami po gżemsach, u kolumn drzwi i okien rozwieszonymi. Ta czarodziejska iluminacja, jakby blaskiem dnia zachodzącego, lub łuną pożaru oświeślała dziedziniec, zajęty w tej chwili dworem pani podczaszyny. Stały w nim kilka karet paradnych, zaprzężonych białymi, tarantowanymi i dzikiej maści cugami. Obok nich we wschodnich niemal strojach, dworskie janczary, kozactwo, barwa, pacholeta, na dzielnych koniach

czekali na panią. Krewny daleki Ordyńskich i dawny przyjaciel ich domu, a sługa z pradziadów książąt W... pan stolnikowicz Puchała, w odświętnych szatach, przy kameryzowanej szabli, która niemal cały jego składała majątek, w starym kołpaku sobolim pod czaplim piórem, stał na przodzie dowodząc orszakowi, który miał podчасzynie towarzyszyć. Pani ledwie rzuciła okiem na otaczające ją sługi, i szepnęła do syna wsiadając do karety:

– Mój Boże, jak to wszystko dziko wygląda! jak to jeszcze polskie! u nas prawdziwie nic zrobić nie można, jesteśmy niewolnikami przesądów nawet w ubraniu! Siadaj Alfierze, a nie zapomnij komplementu sobie przygotować, którymbyś powitał króla naszego, gdy mu cię zaprezentuję.

– A! nie pożegnałem się z babunią! szepnął cicho młodzieniec.

– Ale siadajże! kwaśno odpowiedziała matka, nie odjeżdżasz przecie do Ameryki; zbyt jesteś jeszcze dzieckiem na twój wiek, wierź mi.

– Ruszać! zawołał grzmiącym głosem pan Puchała – i powozy poczęły się powoli posuwać z przed ganku w oświeconą aleję.

Labuś który był przyprowadził podчасzynę do karety, natychmiast się cofnął i wbiegł szybko do pałacu, służba poszła za nim, i wkrótce podwórzec był niemal pusty, a lampy same sobie paliły się powolnie, bo nikt się ich blaskom nie przypatrywał.

II

Za kolumną w głębi, stał przyglądając się z daleka odjazdowi podczaszynej, stary niegdyś marszałek dworu, Sieniński, gładził wąsa, zażywał tabaki, poglądał, mruczał i ruszał ramionami jak to zwykle starzy aż nareszcie odezwał się nieco głośniejsze.

– No! kiedym ja niepotrzebny, a te frygi mają tu królować, to czegoż sobie będę darmo głowę łamał, żeby im pieczone i gotowane podstawiać; niechajże sobie rady dają, a ja wolę do mojej starej jejmości!

To rzekłszy i poprawiwszy pasa na dość zaokrąglonym żołądku, krokiem poważnym zmierzył ku oficynie. Wszędzie to teraz nawet po kątach krzątano się, umiatano, ustawiano, przygotowywano i kłócono się z Francuzami, których dom był pełen, na co pan Sieniński tylko się uśmiechał. Minął tak obojętnie drzwi jedne i drugie, otworzył furteczkę, i w rogu oficyny najdalszym wszedł na ciemne wschodki, z drzwi już na ogród nie na podwórzec otwartych, wiodące ku górze. Wschody te stały ciemne, ale światła z dziedzińca, przez okna wpadające na korytarz, dostatecznie do pokierowania się, błyskiem odbitym je rozwidniały. Tu cicho było, samotnie, ani śladu ruchu i gwaru, który w reszcie zabudowań pałacowych panował.

Zcicha otworzył drzwi pan Sieniński, wsunął się boczkem do pierwszego pokoiku, dobrze ogrzanego, ale dość ubogiego w sprzęt i ozdoby.

Był to przedpokoik z kominkiem, na którym paliło się ognia trochę – w nim stół dębowy, zydeł, stołków para, trochę garnuszków i imbryczków, szafka w ścianie i skromne łóżeczko. Przed kominem na stołku siedziała dziewczę z kądzielą i widać że drzemało, bo bardzo żywo jęło się do wrzeciona zobaczywszy wchodzącego.

– A jejmość co robi? spytał po cichu i ostrożnie Sieniński.

– A cóż? modli się odpowiedziała dziewczynka.

Wtem ze drzwi przymkniętych wiodących do dalszych pokojów, dał się słyszeć głos cichy i łagodny.

– A kto tam?

– To ja Jaśnie Wielmożna pani, odparł stary głośniejsze, to ja, Sieniński; ale może przeszkadzam?

– Chodź-że waszeć, chodź! odezwano się znowu z głębi.

Obciągnąwszy kontusza i poprawiwszy pasa, potarłszy czupryny, Sieniński przybliżył się na palcach, powolnie drzwi uchylił i wsunął się z niskim ukłonem do drugiego pokoiku.

Ten drugi niewiele był ozdobniejszy od pierwszego; widać, że w przerabianiu pałacu, zapomniano o tym kątku. Było to jeszcze przeszowieczne jakby mieszkanie, okna z szybkami niewielkimi, obicia wypłowiałe na ścianach, lamperje lakierowane na białe – sprzęt także niebył wytworny, znać go tu zniesiono po reformie umeblowania, bo krzesła, kanapka, stoliki, miały postać zużytych starych sług przeszłego pokolenia. – Na boku pod ścianą, stał nieco wykwintniejszy kantorek wysadzany, na nim zegar odwieczny gdański, dwa stare puhary i różne drobnostki nie nowego kształtu i smaku.

Na ścianach ciemnych kilka obrazów, przedstawiały postacie i sceny pobożne, a wśród nich portret pięknego mężczyzny z podgoloną głową, w rysie kierei i zbroi, szczególnie odbijał wyrazem oblicza męzkim a łagodnym. Tuż zawieszona była Najświętsza Panna Częstochowska, a przy niej gromnica, lampa i wianki, dalej święty Michał Archanioł obraz staroniemieckiej szkoły, w ramach ołtarzykowych, i święty Józef z lilją w ręku, i święty Franciszek i Antoni Padewski. Cała niemal litanja wisiała na ścianach w różnych formatach i kształtach, ale nie było między temi wizerunkami brzydkich bazgranin nieumiejętnej ręki; wszystko niemal albo kopijami były z włoskich mistrzów, lub staremi naiwnymi utworami niemieckiej szkoły XV. i XVI. wieku.

Jeden też to przepych był w tym pokoiku, zresztą nadzwyczaj skromnym i ubogim. Na krześle ostawiona poduszkami, siedziała u stołu zgrzybiała staruszka w białym czepcu przewiązanym żółtą

w szafranie ufarbowaną chusteczką, w białym szlafroku, z różańcem w ręku i wielką księgą pobożną na kolanach.

Twarz jej zwrócona ku drzwiom, wzbudzała na pierwszy rzut oka jakieś uszanowanie, i niemal czcią przejmowała, tak na niej widocznie wypiętnowały się lata świętobliwie spędzonego żywota. Błada, pomarańczowa, zwiędła, a jednak zachowująca jeszcze ślady piękności w kształtnym, kościstym nosie, drobnych ustach i oprawie oczów, pełna była wyrazu łagodności, rezygnacji, dobroci anielskiej.

Nigdy może starość z pięknej twarzy kobiecej, piękniejszej nie utworzyła ruiny; Obok lic jaśniejących młodością i wdziękiem, to oblicze zbladłe i smutne, jeszcze by było zwróciło oko i zmusiło przed sobą uchylić głowę. Uśmieszek jakiś niemal dziecięcy, tak był szczery i wesoły – igrał na ustach staruszki, która się w bok wzięła spoglądając na wchodzącego Sienińskiego.

– A co Sienińsiu, waść taki do mnie! ha! nie zapomniałeś o starej. Oj, pochlebca z ciebie, pochlebca, dworak! czy to niema już tam co robić, żeś się do mnie przywłókł? Dwór się tam słysze do góry nogami przewraca! Żeby go jeszcze uchowaj Boże temi illuminacjami nie podpalili!

– Juściż, taki pałacu by spalić nie powinni, trochę obojętnie rzekł Sieniński – alem ja ich porzucił, niech sobie sami dają rady kochane Francuzy. JW. podczaszyna kazała mi się niepokazywać i z kąta tylko pilnować porządku, poszedłem też precz... Dziś tu u nas wszystko do kuchcika francuzkie, niema co nam robić.

– Czy już podczaszyna pojechała? spytała staruszka.

– Już, tylko co się to potoczyło; cała aleja w ogniu, ludzi kilkuset z wachlami – dwór pojechał za panią; reszta pań jeszcze nie gotowa... Ale JW. pani ani chce spojrzeć, a to dalibóg śliczny widok choć ślicznie i kosztuje.

– Daj mi tam waszeć święty pokój z temi widokami, moje oczy dosyć ich już widziały na świecie, wkrótce da miłosierny Bóg jaśniejszą nad te wszystkie światłości oglądać. Co mi tam mój Sienińsiu wasze fajerwerki i illuminacje, głupstwo to kochanku. – A mójże Michaś pojechał? zapytała troskliwie.

– JW. podczaszyc siadł z panią.

– Ażeby mi go tylko gdzie nie zaziębiła fertycząc się tam, bo to takie nieuważne i matka i on – a cóż na siebie wziął, nie widziałeś tam waszeć?

– Sobolową szubę karmazynową JW. pani, nie zmarznie w niej, boć i karetą pojechali.

– Oj, nie uwierzysz bo, mój Sieniński, jakie to delikatne, tak mi go nieboraka po babsku wychowali, niech im to Bóg niepamięta!

Oboje westchnęli.

– Szaławila chłopczysko, głowa mu się pali, nawet dziś do mnie na minutę nie przybiegł – dodała staruszka patrząc w ziemię, dobrze mu za to uszy natrę, boć należało, należało...

– Już co temu, to jak Boga kocham, gorąco przerwał stary, nie winien on JW. pani, nie winien. JW. podczaszyna nie puściła go ani na minutę od siebie. Sądny dzień w pałacu. – Wszyscy wiele tego jest, i nas, i tej chałastry, nie mogli wystarczyć... nawet ten Labuś – tu się w język ukąsił Sieniński żeby mu nie dać jakiegoś przydomku – latał, z pozwoleniem, jak kot z pęcherzem. No! jest bo co robić! Zachciało się króla IMci przyjmować, niechajże skosztują *rarity*.

Staruszka ruszyła ramionami.

– Co mi to za król! co mi to za król! szepnęła jakby sama do siebie; oj mnie mości Sieniński co jeszcze pamiętam jak przez sen prawdziwego króla Jana III., już to na tego niemczyka i patrzeć się nie chce. I tamciż byli Niemcy, co po Janie panowali; także to byli jakieś przybłędy, co po koronę za jałmużną do nas przysli, i spalali się na naszym chlebie Bóg wie za co, ale i ten, choć to niby swój – pożał się Boże! Dawnoż to ekonomowało na Litwie. – ??

Sieniński choć bardzo z natury cierpliwy i chętnie milczący, zdawał się nieco jednak zgorszony tem wystąpieniem staruszki, ale zamilkł.

– Już to nie śmiejąc kontrować – odezwał się namyśliwszy – jaki on tam jest to jest, a takież to koronowana głowa i pomazaniec Pański.

– A! temu się nie przeczy, przerwała jejmość; korony mu z głowy nie zdejmuję, niech go Bóg błogosławi – ale to nie Sobieski mosanie, oj nie Jan III. mospaneńku!

– Wiadomo, JW. pani, wiadomo!!

– Może on tam i dobry sobie i im, dodała stara, im takiego właśnie niemczyka czy francuzika było potrzeba – niechże się nim cieszą.

– To taki JW. pani nie będzie miała nawet ciekawości go widzieć?

– A dajże mi tam waszeć z nim pokój, wszakiem ci mówiła, że mi czas do zobaczenia innego majestatu się sposobić, nie z tą młodzieżą się trzpiotać. Rada bym tylko żeby mi Michasia nie zaziębili... oj, i nie zbałamucili! dodała z westchnieniem modlitwy.

Stary Sieniński, który rad słowa zastępował czemkolwiek, westchnął także.

– Dobrze to chłopię, pocziwy dzieciuch – mówiła dalej – w pół do siebie staruszka – ale tak go psują, że ani sposobu uchronić.

– Już co to, to prawda! Boże miły, wiele i mnie to łez kosztuje – rzekł stary – ale niema sposobu, francuzi tu królują i na francuza wystrychną.

– Żeby mu choć głowy nie obałamucili, a serca nie zepsuli – bo serce ma złote!

– Kubek w kubek, kropla w kroplę, nieboszczyk pan podczaszy!

– Biedaczysko! westchnęła babka – i łza srebrzysta, rychło rękawem otarta, po zeschęj stoczyła się twarzy.

Wśród tej rozmowy, pan Sieniński usłyszawszy skrzypienie pierwszych drzwi, jakby przeczuciem niepokoju się obejrzał.

– O ho! rzekł – to już ktoś pewnie przyszedł po moję duszę.

W tem, głowa dziewczynki ukazała się w przedpokoju.

– No, a co tam? spytała staruszka.

– Marszałka proszą.

– A co? nie mówiłem, dobrej nocy życzę JW. pani! do nóg upadam!

– Dobranoc ci mój kochany, dobranoc – choć ty podobno tej nocy nie bardzo będziesz spał.

– Panie marszałku! począł naglić głos z przedpokoju. – Labe prosi – Labe... bardzo pilno...

– Ależ idę idę! wysuwając się z westchnieniem rzekł – stary. Labe siud – Labe tud – a niema jemu końca! nie mogliby się obejść i kwadransa bezemnie. Już tam jakaś bieda z tą frygą mnie czeka! Skaranie Boże! skaranie Boże!

– Prędzej panie marszałku! zawołał nadbiegając ktoś drugi – Labe się niecierpliwi!!

– To niechże do kroćset... chciał już klnać Sieniński, ale się wstrzymał i dodał:

A nie może poczekać? Jużciż konno ze wschodów nie zjadę, żeby do niego pospieszyć, ani karku sobie dla niego nie nadkręcę?

III

Gdy tak w pałacu reszta przygotowań na przyjęcie królewskie się dopełnia, z pośpiechem, który najczęściej opóźnia wszystko zamiast ułatwić cokolwiek, gdy Labe Poinot głowę traci wśród polskich sług, z którymi tylko na migi rozmówić się może, powozy podczaszynej suną się aleją lipową, ku oświeconej na przeciw pałacu, na wielkim gościńcu stojącej austerji, widocznie na dzień uroczysty wyświeżonej. Gmach ten, który zwykle stał dosyć odrapaną pustką i frontem tylko nieco okazańszym miał obowiązek zamykać długą ulicę, teraz odnowiony, wymalowany, wyluminowany, zajmowały tłumy szlachty sąsiedniej, oczekującej na Najjaśniejszego Pana, kilku orderowych, na których czele wojewoda, gromady wiosek z chorągwiami, chlebem i solą, żydzi z miasteczka blizkiego kahałem całym z rabinem, baldachimem, półmiskiem pokrytym pąsowym adamaszkiem, na którym tort z cyfrą S. A. R. pysznie się bielił – i mnóstwo ciekawych różnego stanu ludzi. Już od południa niemal wszyscy w pogotowiu stoją, głodni, zziębli, a niespokojni wysyłają na zwiady, czy kogo nie widać od strony Warszawy – a nie widać nikogo.

Ale zyskali na tem, że się tak przyjazd opóźnił, bo ten różnobarwny tłum, nigdy się lepiej wydawać nie mógł, jak teraz przy pochodniach nocnych. Panowie szlachta w najbogatszych swych strojach, konno, na dzielnych turczynach, żrebcach własnego stada, na kulbakach poźlocistych i rzędach wysadzanych, w kontuszach i żupanach z lamy i wschodnich materyj, u boku szable kameryzowane, na głowach kołpaki sobole, pióra czaple, kity strusie, spinki połyskujące. Niektórzy kobiercami perskimi pookrywali dżianety, poupinali na głowach końskich czuby ze staroświecka i pęki piór nawet przy ogonach końskich posadzali; drudzy pofarbowali starą modą grzywy i ogony białym rumakom na pąsowo. Za panami których kupka lśni się od złota i drogich kamieni, świeci się barwy najświeższymi, niemniej wspaniała ciżba pacholców w strojach z węgierska, z kozacka, z janczarska i od fantazji; a wszyscy szumnie i bogato za katy.

Tuż i kareta pana wojewody i jego hajducy a służba; opodal szare i bure stanęły w odświeżonych świtach gromady wiosek milczące i zamyślone; znowu w innej stronie ścisnęli się żydzi w atłasowych i alepinowych żupanach, lisich szubach i sobolich czapkach, nieśmiejąc ich na głowę włożyć, wobec karety pana wojewody, choć była próżną. Wszyscy czekając patrzą, wzdykają, a niektórzy już i klną sobie po cichu, jak komu do humoru. Wysłano dziesięciu posłańców z rozkazem, żeby jak tylko ukaże się kalwakata królewska, dawali znać cwałem, bo szlachta chciała na dalszym trochę wzgórzu, u granicy województwa, powitać monarchę. Ale posłanych ani widać ani słysząc. Nadjeżdżające karety i dwór podczaszynej, przerwały jednostajność oczekiwania; rozstała się szlachta, wojewoda który się grzał w izbie u komina, głowę przez okno wysadził, jakaś otucha wstąpiła w serca wszystkich.

– No, rzekł ktoś, kiedy pani podczaszyna przybyła, to nie bez racji, już i Najjaśniejszy musi być niedaleko.

Ależ bo zimno było czekać doprawdy, a mróz pod wieczór trochę sobie za nadto pozwalał, jak na mróz marcowy.

– Cóż tam słysząc panie cześniku? odezwała się, ostrożnie taflę u karety podnosząc podczaszyna, do najbliższej stojącego na koniu, wąsatego i rumianego pana Styrpejki.

– JW. pani, wiatro po uszach dżga, więcej nic.

– A król Jegomość?

– Król daleko JW. pani – Bóg wysoko! a mróz szeroko i głęboko.

– Cześnik zawsze żartuje.

– Zwłaszcza kiedy zimno, odparł raźnie Styrpejko, bo czemużby się człowiek rozgrzewał jeśli nie dobrą myślą? I cześnik pokręcił ogromnego obmarzłego wąsa.

– Ale bez żartu, cześniku, N. pan miał być u nas w Głuszy na godzinę czwartą! czy uchwaj Boże w drodze nie trafiło się jakie nieszczęście? spytała cieniuchnym głosem podczaszyna przymrużając oczki.

– Najjaśniejszego pana poddani wszędzie widać tak miłują jak my, i nie łatwo mu się wyrwać. Bogiem a prawdą, zmówiłem już trzy Zdrowaś na tę intencję, żeby nas przybycie Najjaśniejszego koronata spuściło z tej niewygodnej warty na mrozie, ale coś nie skutkuje!

– Gdzież pan wojewoda?

– Dobrze sobie poradził, rzekł cześnik, grzeje się u komina w izbie karczemnej, czekając języka. Możeby i JW. pani nie zawadziło wejść i trochę się rozgrzać.

– Ale cóż to jest? spoglądając na maleńki kameryzowany zegareczek, powtórzyła podczaszyna, już szósta a tak się ciemni!

Cześnik tylko westchnął.

– I mróz coraz to gorzej – dodał – a tu z konia zsiąść niepodobna – nuż dadzą znać, mógłbym gramoląc się po staremu chybić N. Pana. Zmówię jeszcze trzy pacierze do Ś. Antoniego; patrona rzeczy zgubionych.

Ledwie to wyrzekł, gdy siwy wysokiej i pięknej postawy mężczyzna, w wielkiej delii niedźwiedziej wysunawszy się z austerji, przybliżył się do powozu. Był to pan wojewoda, ale nie z owych to wojewodów, których pradziadami byli cnych owych rycerzy dwunastu, tak dzielnie narysowanych w kronice Miechowity i Bielskiego; – tamtych potomkowie spoczywali gdzieś pod marmurowymi trumien wiekami, po fundowanych przez się klasztorach i opactwach. Ten nowego autoramentu wojewoda, z nazwiska nie krajowiec, z miny nie wojak, wypudrowany i wystrojony po wersalsku, choć poddeptany a udający młodzika, pachnący, grzeczniuchny, delikatny, nie wiem co by był począł, gdyby mu doprawdy przyszło ze szlachtą swoją ciągnąć na wojnę przeciw poganinowi.

Już zdaleka uśmiechał on się do podczaszyniej, jako stały wielbiciel jej wdzięków, i zaraz rozpoczął francuzką z nią rozmowę, przez w pół otwarte okno karety.

Cześnik Styrpejko wąsa kręcił w prawo i lewo, przysłuchując się tej paplaninie, której niewiele rozumiał, a tem więcej nie lubił.

– Mosanie Jędrzeju, rzekł wreszcie zniecierpliwiony z cicha do sąsiada o strzemień, który zawinięty w wilczurę zębami kłapał, coraz to wypuszczając nogi ze strzemion i w futrze je podjawszy zagrzewając – niema co robić, uczmy się taki po francuzku!

– Co waść pleciesz mości cześniku! Wmości bo zawsze żarty się trzymają!!

– Ba! to nie żart! ze wszystkiego widać, że taki na przyszłym sejmie wypadnie uchwała, aby wszystka szlachta inaczej jak po francuzku mówić się nie poważyła. – I jest racja!

– Ależ mróz! co za racja?

– Dalej widzisz waszeć, senatorowie szlachty nie będą rozumieć, a że rycerstwo taki zawsze młodszy bracia, będą się musieli starszym akomodować. Słyszę jak pan wojewoda o tem właśnie naradza się z naszą podczaszyną. Otośmy wpadli w łapkę panie Jędrzeju, pójdziemy na starość do szkół pod ferulę Francuzów.

– Czy waść w nogi nie marzniesz? zapytał pan Jędrzej.

– Alboż co? ja nie.

– Jakimże sposobem ja, choć buty mam wyporkami podszyte, kostnieję po kolana! zapytał szlachcic.

– Wszystkiemu temu winno, że waść po francuzku nie umiesz, odpowiedział cześnik serjo; gdybyś *parle franse* umiał, poszedłbyś z wojewodą, podczaszyną i tą laleczką podczaszycem, grać się w austerji przy kominie.

Kareta podczaszyniej już była podjechała pod wrota austerji i pani wysiąść miała na zaproszenie wojewody, gdy gościńcem dał się słyszeć tentent konia puszczonego czałem. Oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę, a głos jakiś zawołał:

– Król jedzie! Król jedzie!

Nie jechał jednak nikt jeno posłaniec, kozak wojewodziński, który dopadłszy do karety pańskiej zakrzyknął:

– Król już o ćwierć mili.

Rozruch się stał wielki. – Szlachta poczęła się szykować i naradzać głośno, reszta zgromadzonych przybliżać ku karczmie, wojewoda wskoczył do swojej karety, a podczaszyna postanowiła pozostać przy austerji, oczekując zbliżenia Najjaśniejszego Pana.

– Panowie bracia! przez okno powozu wychylając upudrowaną głowę, zawołał złą dosyć polszczyzną wojewoda – jedziemy wszyscy na spotkanie.

– Jedziemy! Jedziemy! *virtim*, odpowiedziano gęsto, i tęgim wyciągnionym kłusem, cześćnik na przedzie na bułanku, popędzili wszyscy w ścieśnionej kolumnie, niezważając na noc i grudę; przed niemi kilku kozaków z kagańcami bliższym przyświecali, dalsi omackiem i sprytem koni bili się za pierwszymi jak mogli. – W drodze już napotkano pułkownika Słomińskiego, który wszędzie króla poprzedzał i konie dla niego zagotowywał. Spytano go jak daleko jeszcze król? niedosłyszano odpowiedzi, i konni z kareta wojewody posunęli się dalej.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.